

Marian Ekielski

Byliśmy ostatni...

Palestra 18/7(199), 124-129

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Warunki nauczania i pobierania nauki w obozach jenieckich były bardzo ciężkie. Ciasnota mieszkaniowa w poważnym stopniu uniemożliwiała pobieranie nauki. Dość często można było spotkać uczących się na poddaszach, w korytarzach i piwnicach. W porze zimowej wykłady odbywały się w nie opalanych świetlicach lub barakach, co w konsekwencji zmuszało słuchaczy do siedzenia w płaszczach i rękawicach, z nogami owiniętymi w koce, ale i tak nie chroniło to przed przeziębieniem. Brak papieru do sporządzania notatek z wykładów oraz niesprzyjające warunki psychiczne były dalszą przeszkodą w tej pracy. Ale mimo tych ciężkich warunków zwyciężyła wytrwałość wykładowców oraz wielka pilność i pracowitość, a czasem wręcz zaciętość i upór słuchaczy.

5.

MARIAN EKIELSKI

Byliśmy ostatni ...

Autor w formie wspomnień opisuje ostatnie, masowe aresztowanie dokonane przez hitlerowców w Lublinie w dniu 30 czerwca 1944 r. Przedstawia warunki życia więziennego, osobiste przeżycia w gestapo oraz w więzieniu na Zamku w dniu 22 lipca 1944 r., tj. w czasie dokonywania masowej egzekucji na więźniach.

Rok 1944 rodził coraz większe nadzieje szybkiego zakończenia wojny. Sygnalizowały to przede wszystkim działania na froncie wschodnim. Wróg cofał się w wyniku druzgocącej ofensywy Armii Radzieckiej, u boku której oddziały Armii Polskiej zbliżały się do granic Polski. W tej sytuacji okupant coraz dotkliwiej odczuwał wzmożone akcje ruchu podziemnego. Aparat gestapo podwoił swoje wysiłki. Lubelszczyzna, będąca głównym ośrodkiem ruchu podziemnego i partyzanckiego, stała się terenem szalejącego terroru hitlerowskiego. Zwiększyła się liczba aresztowań. Coraz częściej na murach Lublina pojawiały się obwieszczenia, które zawiadywały o rozstrzelaniu więźniów w odwet za zamachy skierowane przeciwko okupantowi.

Dnia 30 czerwca 1944 r. obudzony zostałem w nocy głośnym dobijaniem się do drzwi mego mieszkania. Zanim zdałem sobie sprawę z groźącego mi niebezpieczeństwa, do pokoju wkroczyło już kilku uzbrojonych Niemców. Jeden z nich odczytał z kartki moje nazwisko. Wiedziałem, że nie wprowadzą ich w błąd. Na schodach i przed bramą oczekiwało jeszcze kilka uzbrojonych postaci. Doprowadzili mnie do samochodu, stojącego w znacznej odległości. Po kilku minutach znalazłem się pod bramą więzienia na Zamku. Po jej przekroczeniu zorientowałem się, że nie jest

to indywidualne aresztowanie. Znajdowało się tam bowiem już kilkanaście osób. Co chwila doprowadzano dalszych aresztowanych. Ustawiali twarzą do ściany. Przeprowadzano nas przed stół, za którym siedziało trzech gestapowców. Sprawdzali dane personalne. Inni dokonywali rewizji osobistej.

Znalazłem się po pewnym czasie w celi, mieszczącej się na parterze baszty. Znajdowała się w niej duża grupa więźniów. Do rana zapelniła się całkowicie. Więźniowie byli różnego wieku i pochodzenia społecznego. Rano przeprowadzono nas do innej celi, położonej na najwyższym piętrze baszty. Cella okrągła o średnicy około 8 metrów. Nie było tam ani łóżek, ani prycz. Osadzono w niej 106 osób. Dotkliwie odczuwało się brak dopływu powietrza. Najgorsze były noce. Spaliśmy na betonowej posadzce, ułożeni na boku, jeden przy drugim, gdyż brak było miejsca. Po paru dniach pobytu w takich warunkach odczuwaliśmy niezwykle zmęczenie i wyczerpanie.

Napięcie nerwowe wzrosło, gdy z celi zaczęto wywozić niektórych na „badania” do gestapo „Pod Zegarem” przy ul. Uniwersyteckiej. Wzrokiem pełnym serdecznego współczucia odprowadzaliśmy odchodzących. Niektórych przywożono z powrotem tego samego dnia. Inni jednak pozostawali tam dłużej. Wracali, staniając się na nogach, z krwawymi śladami bicia i maltretowania. Twarze często posiniaczone i opuchnięte. Przeważnie niewiele mówili. Dało się jednak odczuć, że są krańcowo wyczerpani psychicznie. Nękało każdego pytanie: kto z nas następnym?

Okolo 10 lipca padło moje nazwisko. Przyjazne spojrzenia i słowa otuchy odprowadziły mnie do drzwi. Na transport do gestapo oczekiwało kilkanaście osób. Były i kobiety. Skuto nas po dwóch. Wkrótce znaleźliśmy się w gmachu gestapo. W suterrenach urządzony był areszt. Niemcy nazywali go więzieniem domowym (Hausgefängnis). W nazwie tej wyczuwało się cyniczną ironię, podobnie jak w napisie figurującym nad bramami obozów: Arbeit macht frei. Wzdłuż korytarza mieściło się tu kilkanaście cel oraz 3 tzw. „ciemne cele” (Dunkelzelle). Te ostatnie służyły do wieszania więźniów za ręce i nogi. Okna w celach były przystonięte. Drzwi zaopatrzone w kraty (z wyjątkiem jednak ciemnych cel). Korytarz był oświetlony przez całą dobę, co pozwalało stale obserwować więźniów. W celach znajdowały się tylko drewniane prycze bez sienników, a nawet bez słomy lub koców. Za poduszkę służyła pochyla, goła deska. Te prymitywne warunki powodowały u więźniów nastrój przygnębienia. Pogłębiało się ono z chwilą, gdy w gmachu zaczęły się rozlegać krzyki lub przyciszone jęki maltretowanych. Słychać je było od rana przez cały dzień. Docierały niejednokrotnie i w nocy. O normalnym śnie nie było mowy, tym bardziej, że na noc skuwano więźniom ręce do tyłu. Deprymował również widok krwawiących, często nieprzytomnych więźniów, niesionych przez korytarz. Dźwięk dzwonka telefonu w korytarzu był zapowiedzią, że za chwilę któryś z więźniów będzie wzięty na badania.

Jeden z takich dzwonek stał się sygnałem dla mnie. Wyprowadzono mnie z celi. Znalazłem się w pokoju na drugim piętrze. Za biurkiem siedziało dwóch gestapowców. Sprawdzili personalia. Kazali podać życiorys. Zapisywali wszystko bez uwag. Po tym wstępie jeden z nich powiedział, że któryś z moich kolegów ujawnił mój udział w ruchu podziemnym. Padło potem nazwisko jednego z moich kolegów, który został aresztowa-

ny w marcu 1944 r., a następnie rozstrzelany pod koniec maja (o jego śmierci dowiedziałem się z obwieszczenia podanego do publicznej wiadomości). Zaprzeczyłem zarzutowi. Zaczęli grozić, że mają przeciwko mnie niezbite dowody. Nadal przeczyłem. Zmienili wówczas metodę. Obiecywali natychmiastowe zwolnienie, jeśli tylko podam nazwisko osoby, która wprowadziła mnie do organizacji, gdyż chodzi im o głównych działaczy. Nie osiągnąwszy celu ponownie zaczęli mi grozić, że przedstawią mi takie dowody, które zakwalifikują mnie do natychmiastowego rozstrzelania. Odpowiedziałem, że mogą uczynić ze mną, co chcą, ale mówię prawdę i innych zeznań nie złożę. Spowodowało to wyraźną złość u przesłuchującego. Padło pytanie, czy znam metody ich „badań”. Nie zaprzeczyłem. Zapowiedzieli więc zastosowanie tych metod, jeżeli się nie zdecyduję przyznać do wszystkiego.

Odprowadzono mnie do celi. Przed wieczorem — powrót na Zamek. Nie na długo. Następnego dnia rano ponownie znalazłem się w komendzie gestapo. Do celi przyszedł jeden z przesłuchujących mnie gestapowców. Był on, jak trafnie wnioskowałem, referentem mojej sprawy. Padło lakoniczne pytanie, czy przyznam się. Odpowiedziałem, że wczoraj powiedziałem prawdę i treści zeznania nie zmienię. Wyszedł bez słowa. Za chwilę do celi wkroczyli trzej rośli gestapowcy. Wyprowadzili mnie z celi. Skuli ręce do tyłu. Znalazłem się w „ciemnej celi”. Miała długości około 2,5 m, a szerokości niewiele ponad metr. Nie miała okna, a nawet luzu. U sufitu spostrzegłem rzemienny pas, którego klamra zwisiała do dołu. Jeden z oprawców trzymał sznur. Kazali mi położyć się na brzuchu. Zagięli nogi i związali powrozem ze skutymi do tyłu rękami. Po chwili zawisłem na sznurze, przewleczonym przez klamrę pasa. Kajdany przecięły ciało na przegubach rąk. Głowa zwiśla do dołu, a wygięte do tyłu ręce, związane z nogami, znalazły się w pozycji do góry. Odczułem kilkanaście silnych kopnięć po całym ciele. Zamknęli drzwi. Zgasili światło. Nieprzenikniona ciemność. Dotkliwy ból w miejscach przeciętych kaptami kajdan. Pulsowanie krwi spływającej do głowy. Uczucie duszności. Pot ściekał z całego ciała. Po dłuższej chwili męczące uczucie pragnienia. Nie zważając na wzrastający ból, starałem się dotknąć twarzą do posadzki. Udało się. Pewną ulgę przynosiło zlizywanie potu z betonu. Zza drzwi docierały pogwizdywania i przyśpiewki. Coraz ciszej, gdyż w uszach coraz głośniejszy szum i uczucie jakby zatykania ich wata.

Po upływie przeszło pół godziny zabłysło światło. Z otwartych drzwi padło pytanie, czy teraz będę mówić prawdę. Odpowiedź moja była podobna do poprzednich. Ponowne kopnięcia. Znow ogarnęła mnie ciemność. Po długim czasie do zanikającej świadomości docierały nowe pytania. Nie dawałem odpowiedzi. Nie reagowałem na kopania. Bólu już nie czułem. Straciłem przytomność. Przywrócił ją zimny strumień wody. Leżałem już na posadzce. Nóg nie mogłem rozprostować. Zawlekli mnie do celi. Niedługo podali miskę zupy. Była pora obiadowa, wisiałem więc co najmniej trzy godziny. Nie długo odpoczywałem na drewnianej pryczy. Przyszedł referent sprawy i zapytał, czy po tym „zabiegu” będę mówić prawdę. Usłyszał tę samą odpowiedź co zawsze. Efektem było ponowne skucie rąk. Po chwili po raz drugi zawisłem w ciemnej celi. Wszystko miało identyczny przebieg. Wieczorem przewieziono mnie na Zamek.

Następnego dnia, po przewiezieniu do gestapo, zawieszono mnie po raz trzeci. Do celi musieli mnie już zanieść, gdyż utraciłem władzę w nogach. Dłonie były opuchnięte, palce pozbawione czucia. Nie mogłem już ująć kubka z kawą. Tym razem nie odwieziono mnie na Zamek. Na noc skuli ręce do tyłu. Po bezsennej nocy czułem się fatalnie fizycznie i psychicznie. Dochodzący zza okna świergot wróbli wywoływał deprymujące refleksje. Przyszedł referent. Usłyszawszy moją odmowę przyznania się, powiedział, że będą mnie wieszać tak długo, aż skonam. Zawieszono mnie po raz czwarty.

W dniu następnym nie zjawił się w celi referent, tak jak w dniach poprzednich, przyszło natomiast dwóch rosyjskich gestapowców. Zanieśli mnie na górę, do znanego mi pokoju. Strasząc, że to dopiero początek „badania”, żądali przyznania się. Odmówiłem. Zaczęli mnie bić rękami i knutem. Mimo że trzymałem się szafy, gdyż nie mogłem stać na nogach, osunąłem się na podłogę. Nowa seria ciosów i kopnięć. Referent odczytał mi nazwiska około dziesięciu osób pytając, czy ich znam i czy z nimi współpracowałem. Zaprzeczyłem. Spowodowało to dalsze bicie i kopanie. Doprowadzili mnie do takiego stanu zamroczenia, że nie rozumiałem treści zadawanych pytań. W zanikającej świadomości tliła się tylko myśl, że jestem w gestapo, że nie wolno mi nic mówić, że do żadnej organizacji nie należałem i nikogo nie znałem. Na jakieś pytanie, którego treści nie zrozumiałem, nie udzieliłem odpowiedzi. Referent zerwał się z furją zza biurka i dopadłszy mnie, kopnął mnie parę razy w klatkę piersiową. Myślałem, że nie przetrzymam tych ciosów. Jak się później okazało, spowodowały one złamanie dwóch żeber. Straciłem oddech i zemdlałem.

Nazajutrz, gdy nie mogli wymusić ode mnie przyznania się, ponownie byłem bity i kopany. Kazali mi zdjąć buty. Jeden z oprawców rzucił mi na piersi maskę przeciwgazową i polecił założyć ją na głowę. Odretwiąłymi palcami nie mogłem tego uczynić. Nałożyli mi ją sami. Czuję, że się duszę. Instynktownie ściągnąłem ją z głowy. Zauważyłem, że jeden z obecnych zamknął okno wychodzące na ulicę. Domyśliłem się, że maska miała głuszyć krzyki i jęki. Inny z gestapowców wyjął z szafy gruby pejcz — sznur spleciony z drutem. Zaczął nim bić mnie w stopy. Przy każdym uderzeniu przez ciało przebiegał bolesny wstrząs. Ból nie do wytrzymania. Nie mogłem powstrzymać krzyków. Bito mnie bez przerwy niezliczoną ilość razy. Doznawałem uczucia, że na stopach odpada skóra i ciało. Po kilkudziesięciu uderzeniach byłem zamroczony. Przestałem reagować na ból. Przerwali bicie. Ktoś zaczął nogą ugniatać mi klatkę piersiową. Złamane żebra wywoływały dotkliwy ból. Straciłem przytomność. Ocknąłem się, gdy mnie wlekli po schodach do celi.

W następnym dniu leżałem w celi półprzytomny. Nie wzięto mnie na badanie. Lekarz-więzień, który robił mi okłady na poranione miejsca, powiedział, że prawdopodobnie pojedę na Zamek. Przyjąłem to jak wiadomość o wyjściu na wolność. Istotnie, w czwartek 20 lipca weszli do celi dwaj więźniowie. Ujęli mnie pod ramiona i wyciągnęli z celi na korytarz. Jeden z nich zdążył szepnąć, że gestapo się ewakuuje. Wciągnęli mnie na samochód. Siedziała tam już grupa więźniów. Skuci po dwóch. Mnie nie skuto. Leżałem na podłodze samochodu. Na dziedzińcu widać było popakowane skrzynie. Niemcy szykowali się do ucieczki. Byliśmy —

jak się okazało — ostatnimi z wielu tysięcy więźniów, których opór hitlerowcy starali się przełamać barbarzyńskimi metodami.

W sobotę, 22 lipca, znajdowałem się w celi nr 10 na Oddziale I. Byłem sam. Dziwiło mnie, że nie przyniesiono mi śniadania. W pewnym momencie usłyszałem serie strzałów zmieszane z rozpaczliwymi krzykami. Po chwili słychać było pojedyncze strzały. I znów całe serie. Zrozumiałem: Niemcy likwidują więźniów. Po dłuższym czasie strzały i krzyki ucichły. Usłyszałem kroki na korytarzu, zgrzyt otwieranych drzwi i brutalne: rauss, schnell raus! Liczono głośno wyprowadzanych z celi. Za chwilę ponowne strzały i krzyki zabijanych, po czym cisza. I znowu grupa zabierana z Oddziału I oraz nowe serie strzałów. Początkowo liczyłem, ilu zabierano. Brali po dziesięciu, później po piętnastu.

Odgłos otwieranych drzwi stawał się coraz bliższy. Nieodwołalny koniec — pomyślałem — zbliża się. Wiedziony jakimś odruchem, postanowiłem wykorzystać okoliczność, że jestem w celi sam. Postanowiłem gdzieś się ukryć. Może przeoczą. Położyłem się w najciemniejszym kącie, tuż pod oknem. Przysunąłem dużą, papierową torbę. Zasłaniał mnie też stojący obok stół. Po dłuższym czasie usłyszałem zgrzyt klucza. Otworzono drzwi. Instynktownie wyplułem na wargi ślinę. Zamknąłem oczy. Nagła myśl: udać zemdlonego lub nieżywego. Zaczęli przeszukiwać celę. Dostrzegli mnie. Ktoś dźwignął mnie za kołnierz marynarki, lecz rzucił po chwili na posadzkę, mówiąc: „O, ten to kaput, umarł ze strachu”. Na rozkaz wypowiedziany po niemiecku czyjeś ręce dźwignęły mnie do góry. Wywleczono mnie na środek celi. Czulem kopanie po rękach i nogach. Padły niepokojące słowa: *Er lebt*. Uczulem kilka kopnięć w głowę. Mimo tego niczym nie zdradzałem się, że żyję. I znów słowa: „On kaput”. Odeszli w kierunku drzwi. Oczekiwałem strzału. Jednakże nie padł. Zatrzaśnięto drzwi. Nie dochodziły już do mnie odgłosy strzałów, ale nie zmieniłem pozycji.

Czas był wówczas niewymierny. Nie wiem, jak długo leżałem. Usłyszałem kroki na korytarzu i zgrzyt klucza w zamku. Otworzono drzwi. Ktoś zaczął mną potrząsać. Usłyszałem głośne wołanie: „Wstań, pójdziesz na wolność”. Nie dowierzałem. Leżałem bez ruchu. Nagle polał się na mnie strumień wody. Napięcie psychiczne i zimna woda spowodowały drżenie rąk. Nie mogłem dalej symulować. Otworzyłem oczy. Nade mną pochylona twarz ukraińskiego strażnika, za pośrednictwem którego utrzymywałem kontakt z rodziną. Pot spływał mu z czoła. Uczulem zapach alkoholu. Na ramieniu przewieszony automat. Czyżby brał udział w egzekucji? Razem z drugim strażnikiem zaczęli mnie wlec w kierunku drzwi. Stał w nich polski strażnik. I on też zapewniał mnie, że idę na wolność. Nie wierzyłem. Byłem przekonany, że prowadzą mnie na miejsce egzekucji, skąd niedawno słychać było strzały. Przeszliśmy przez podwójne kraty bramy Zamku. Skierowali kroki do muru okalającego Zamek. W nim brama wjazdowa i furta. Koło niej ujrzałem liczną grupę więźniów. Wcisnęto mnie między nich. Uchwycili mnie pod ramiona. Stałiśmy oszołomieni, niedowierzający. Zza muru docierał gwar głosów i szloch kobiet. Po paru minutach otworzono furkę. Byliśmy wolni!

Z daleka słychać było detonacje. Do Lublina zbliżały się Armia Radziecka i Wojsko Polskie. Przyniosły nam, więźniom, podwójną wolność.

Hitlerowcy nie zdążyli dokończyć krwawego dzieła. Musieli przerwać egzekucję. Z celi nr 9, sąsiadującej z moją celą, zdążyli rozstrzelać tylko 15 więźniów; około 40 ocalało. Ogółem rozstrzelali przeszło 200 osób. Reszta doczekała wolności.

6.

STANISŁAW RADZKI

Wspomnienie o mecenasie Wacławie Szumańskim z okresu jego pobytu w Oświęcimiu

Trzydzieści lat temu, w październiku roku 1943, zginął męczeńską śmiercią adwokat Wacław Szumański, znany obrońca polityczny z procesu brzeskiego.

Nigdy nie będzie dość wspomnień o tej szlachetnej postaci obrońcy, tak imponującej w całej pełni swej ludzkiej osobowości od pierwszych chwil rozpoczęcia przezeń działalności w zawodzie adwokackim aż po ostatnie dni pracowitego i pełnego niewdzięcznych poświęceń życia.

Do zimy 1942/43 miałem zaszczyt znać Go jedynie ze słyszenia. W grudniu 1942 r. zostałem osadzony w Oświęcimiu z numerem 80127 jako *Schutzhäftling*. Któregoś dnia odszukał mnie na placu apelowym mec. Szumański. Spotkanie to, pełne przeżytych przeze mnie wówczas wrażeń, do dziś mam dobrze zachowane w pamięci.

Zaraz po pobudce, która odbywała się o godz. 4.15, i po spożyciu tzw. śniadania wypędzano nas przed bloki, by niezależnie od warunków atmosferycznych spędzić dłuższy lub krótszy czas przed apelem. Trwało to jednak co najmniej około pół godziny.

Owego ranka, kiedy poznałem mec. Szumańskiego, padał śnieg z deszczem, i to tak gęsty, że prawie tłumił światło latarni. W przemokniętym obozowym okryciu, pokrytym lepjącym się wilgotnym śniegiem, tłumy zgarbionych więźniów, milczących i zamkniętych w sobie, snuły się bezładnie w różnych kierunkach, szukając schronienia przed wiatrem i wilgocią.

Panował nastrój wręcz grobowy. Czas, gdy żyć się nie chce i „umrzeć nie ma sił”.

Z takiego to mroku wyłoniła się naprzeciw mnie w pasiakach wprostowana postać słusznego wzrostu, z głową podniesioną do góry. Na krzaczastych brwiach osiadały płatki śniegu. Podszedł do mnie. Energicznym głosem zapytał: „Kolega Radzki?”. Ze zdziwieniem potwierdziłem. Tymczasem spokojnym rytmem płynęły dalsze słowa: „Jestem Szumański. Od pewnego czasu obserwujemy was i **chcielibyśmy** tchnąć w was trochę wiosny. Żebyście mogli przetrwać. **To już niedługo**, nic bowiem tak nie